

Stała przed ciotką, ujęła się rękami pod boki i zawołała:

— Wie ciocia co? Ja mam myśl!

— No, cóż tam nowego? Już, jak ty coś wyślisz...

— Więc ciocia jest tego zdania, że pan Pietraszek jest doskonałą partią, jest człowiekiem poważnym, statecznym, rozumnym, godnym zaufania, szacunku, ze wszechmiar pożądanym na męża, ba! nawet bardzo przystojnym i wcale niestarym... i tak dalej i tak dalej... Czy nie tak, ciociu?

Panna Antonina podniosła oczy z ponad swojej roboty i badawczo, wahająco spojrzała na siostrzenicę. Nie była pewna, czy Józia mówi poważnie, czy też jest to tylko dalszy ciąg żartów z pana Pietraszka. Ton głosu dziewczyny był poważny, jakiś nawet jakby uroczysty, ale wargi jej drżały lekko, niby od powstrzymywanego śmiechu, a oczy ukryły się tak pod długimi rzęsami, że nie można było zaobserwować ich wyrazu.

— Tak! Takie jest moje zdanie! — wyrzekła wreszcie stanowczo panna Korzewska.

— Zatem... Jeżeli on się tak cioci podobą, to niech ciocia za niego wyjdzie za męża!

Panna Antonina aż podskoczyła na krześle. Zaczęły szalik wraz z kłębkami włóczki i drutami upadł na ziemię.

Spostrzegł to kot, rzucił się jednym skokiem na kłebek, zaplątał łapki we włóczkę i jął ciągnąć po pokoju kłebek i rozsnuć go.

Jego systematyczna, porządna i oszczędna pani nie zwróciła na to teraz uwagi.

Zanadto była oburzona na Józję.

— Jak śmiesz, smarkata!... Kpiny sobie urządzasz z osoby starszej, z ciotki, z opiekunki!...

— To nie są żadne kpiny! — odrzuciła wcale nie zmieszana Józia — jeżeli on się mnie nie podoba, to z jakiegóż racji mam za niego wychodzić? A podoba się cioci, to niech go ciocia bierze!... Ja będę drużką!...

— Milcz! — wrzasnęła panna Antonina głosem tak ostrym i przenikliwym, że dziewczyna stropiła się i umilkła.

Na policzkach starej panny ukazały się ceglaste wypieki, szpiczasty koniec długiego, ostrego nosa drgał silnie, wypływałe oczy zaś iskrzyły się gniewem.

Józia nie przeczuwała nawet, jak boleśnie potrafiła w duszy ciotki strunę starannie tajonych, a daremnych marzeń. Nie miała ona zamiaru dokuczyć swojej opiekunce. O! po prostu chciała obrócić w żart niemiłą rozmowę, a dziecinna pustota podsunęła jej wyobraźni komiczny obraz tysego pana Pietraszka, dążącego na swoich krzywych nogach do ołtarza pod rękę z panną Antoniną — w białej sukni, w welonie i wianku mirtowym.

Józia Maliniewiczówna była jedną z tych natur, u których słowo, lub nawet czyn, wyprzedza refleksję, zastanowienie.

Panna Antonina zaś doznała tego samego zupełnie wrażenia, jak przed laty, kiedy jej siostrzenica zadeklamowała na imieniny: „Ach w noc taką — być tylko we dwoje“...

Stara panna wstała, wyprosowała swoją długą, chudą, płaską postać i zmierzyla Józję spojrzeniem złem, gniewnym, prawie nienawistnym.

Spokojniej już, ale bardzo twardo, sycząc przez zaciśnięte zęby, powiedziała:

— Jesteś dziewczyną źle wychowaną, hardą, bez serca, bez odrobiny szacunku dla starszych! Wiem, że cię nie zmienię, ale, dopóki jesteś w moim domu, mam prawo wymagać i wymagać będę, żebyś się zachowywała przyzwoicie... Zabraniam ci raz na zawsze wypowiadania w mojej obecności głupich, ordynarnych konceptów!

W oczach Józji zgasyły już figlarne iskierki. Dziewczyna poczuła sama, że żart jej był niestosownym i niedelikatnym.

Gdyby panna Antonina zgromiła ją trochę łagodniej, gdyby znalazła w sobie trochę zrozumienia i pobłażania dla tej nieobmyślanej swawoli — byłaby może uformowała sobie drogę do serca Józji.

Dziewczyna rzuciłaby się jej na szyję i przeprosiła serdecznie, szczerze. Lecz twardy ton ciotki, twardszy jeszcze, niż słowa, uraził znowu głęboko Józję.

Panienka podniosła hardo głowę i chłodno odpowiedziała:

— Dobrze. Postaram się do tego zastosować. Jeżeli słowa moje obraziły ciocię, to przepa-

szam za nie. Oświadczam jednak stanowczo i nieodwołalnie, że nie zgadzam się na to, by mnie ciocia z kimkolwiek swatała. Jestem dorosła, mam swoje zdanie i... jestem już narzeczoną!

Ciotka roześmiała się ostro, chrypliwie, nieprzyjemnie.

— Narzeczoną!... Ten twój narzeczony troszczy się o ciebie, jak ja o zeszłoroczny śnieg.

Oczy Józji pociemniały — cała twarz, jakby się nagle postarzała.

Zapanowała nad łzami, które ją dławilić począł i spokojnie odrzuciła:

— To już nikogo nie dotyczy, tylko wyłącznie mnie. A teraz dobranoc. Odchodzę. — dodała, chwytając słuchem miarowy, powolny rytm ciężkich kroków męskich na ulicy.

Panna Antonina nie protestowała. Józia schwyła pierwszą lepszą z brzegu książkę i zniknęła z nią w głębi sąsiedniego pokoju, zamykając cicho i starannie drzwi za sobą.

Kiedy się znalazła sama w mrocznej sypialni, rozświetlonej tylko tajemniczym, czerwonym blaskiem lampki, pływającej przed porcelanową statuetką Matki Boskiej, książka wysunęła się jej z rąk na podłogę.

Dziewczyna ścisnęła się dłońmi za skronie.

— Boże!... Boże!... Takie życie, to piekło o przecie!... I jak długo tego jeszcze?... Kiedyż się to skończy?...

Zaczęły ją trapić refleksje i wyrzuty sumienia.

— Ja chyba byłam za ostrą!... I powiedziałam wielkie głupstwo... Może ja doprawdy ciotce przykreść zrobiłam... Kto wie, może ona o tym Pietraszku nieznośnym myślała kiedyś dla siebie i zdawało się jej teraz, że robi dla mnie ofiarę, a ja... Że też to ja wcześniej o tem nie pomyślałam... Ach! Bo czemuż mnie ta ciotka zawsze tak podrażni!... Trzeba ją było jednak serdeczniej przeprosić!...

Byłaby się wróciła, gdyby nie posłyszała w przyległym pokoju nosowego głosu pana Pietraszka.

Wzdrygnęła się i zatrzymała. Znalazła na nocnym stoliku pudełko zapalek i świecę w zielonym blaszanym świeczniku. Jasny płomyk zadął, zamigotał. Na białą malowaną ścianę z zielonymi szlakami zatańczyły fantastyczne cienie.

Sypialnia panny Korzewskiej była niezbyt obszerna, ale oddychało się w niej jakoś lżej, niż w sąsiednim pokoju, bo mniej tam było gratów. Lwią część niedużej przestrzeni zajmowało łóżko z orzechowego drzewa — ustawione pod środkową ścianą, naprzeciwko drzwi. To imponujące, szerokie łóżko, wysoko usłane, przykryte wzorzystą kapą i zdobne w rzeźby jakichś dziwacznych łbów zwierzęcych — przedzielał niski stolik nocny i miękki wołokowy dywanik od wąskiej, kretonek powleczonej sofki.

Nad łóżkiem urządzono rodzaj kapliczki, pełnej świętych obrazków i posażków, przystrojonej ładnymi bukietami nieśmiertelników i bardzo brzydkimi, czerwonymi, papierowymi różami.

Za ramą jaskrawego, jarmaczego czy odpustowego oleodruku, przedstawiającego patrona panny Antoniny — zatknięte były święcone w kwietną niedzielę palmy.

Ponad tem wszystkim zaś promieniała i uśmiechała się cudna, słodka zaduma, wzniosła boskością tchnąca, a jednak tak bardzo ziemską, twarz rafałowskiej Madonny „della Sedia“. Była to bardzo piękna kopia, pędzlem prawdziwego artysty malowana.

Panna Korzewska obraz ten odziedziczyła po swojej zmarłej krewnej i chlebobawczyni...

W to promienne, przecudne oblicze Matki Bożej wpatrywała się Józia nieraz długo, bardzo długo — i zawsze potem czuła się weselszą, silniejszą, pokrzepioną...

Prócz tego obrazu nie było w tym pokoju niczego, na czymby trochę wybredniejsze oko mogło spocząć z przyjemnością.

Blaszana, na trzech nogach umywalka z więcej niż skromnymi przyborami toaletowymi, lustro w prefensjonalnych, połączonych, ale odrapanych już ramach, dwa stolki i niewielka szafka na bieliznę dopełniały umeblowania.

Józia podniosła z podłogi książkę, ułożyła się, jak mogła najwygodniej, na wąskiej sofce i zabierała się do czytania.

Nie mogła jednak skupić uwagi, myśli jej uciekały ciągle od awantur, tłumaczonego z francuskiego romansidła.

— Już przeszło dwa tygodnie nie miałam listu od Konrada... Ostatni raz pisał mi na moje imię... Taki długi, śliczny, serdeczny, poetyczny list, ale o przyszłości, o małżeństwie ani słowa... Prawda, matka... On jest od niej zależny, a ta kobieta mnie nienawidzi!... Jak ona wtedy w Zakopanem umiała nas zresztą rozdzielać... A on jakoś tego nie widział, czy nie chciał widzieć... A może ciotka ma rację, może on rzeczywiście o mnie poważnie nie myśli!...

Policzki Józji spłonęły krwistym rumieńcem urazy. Dziewczyna zacisnęła kurczowo ręce.

— Nie! To nie!... Nie będę prosić, ani nalegać, ani przypominać!... Nie chcę, żeby się żenił ze mną z litości, z łaski, z obowiązku!... Nie! Nigdy!... Możemy znowu zerwać!... Niech się żeni z kim chce, choćby nawet z tą... z tą Izą!... Jeżeli mnie nie kocha prawdziwie — to mi to wszystko jedno!...

Ale nie było jej wcale wszystko jedno. Na myśl, że Konrad może ożenić się z Izą lub z jakąś inną kobietą, czuła silny, zupełnie fizyczny ból serca i przykre dławienie w gardle.

Przymknęła powieki i... widziała przed sobą ciemne, magnetyzujące oczy i tą bladą, mizerną, drogą twarz, rozjaśnioną uśmiechem, który miał dla niej dziwny, nieprzewidywalny urok.

Owionął ją żar wspomnień... Zatarła dziewczyna tęsknotą bezmierną...

— Konrad!... Konrad!... Mój!... Mój!... To niepodobna, żeby on mnie nie kochał, żeby zapomniał!... Och! Jak się ten Pietraszek wstrętnie, idyotycznie, wrzaskliwie śmieje!... — wstrząsnęła się nagle — Ze też ciotka to znosi!...

Usiłowała odpędzić dręczące myśli, stłumić palącą tęsknotę i zająć się znowu przygodami pięknego wicehrabiego de Vaugirard, który dla miłości aktorki Jaqueliney rzuca dom, majątek, rodziców i zostaje wędrownym aktorem. Ale cała ta historia, wydawała się jej tak głupią i nieprawdopodobną, że odrzuciła z niesmakiem książkę.

— Nawet porządnej książki do ręki tutaj dostać nie można... Walczakowie... ci, to mają bibliotekę... Tam było co czytać... Ile ja tam korzystałam!... Anielka dawała mi wskazówki, czasem nawet sam Walczak... O! Gdyby tak można pojechać do Zalesinek!... Anielka ma małą córeczkę... Pomagałabym bawić ją, pielęgnować. Jakby to było pięknie!... inaczej!... Ale niepodobna, nie... Choć oni tacy dobrzy, przebaczyli mi... nie mogę przecież spotkać się z nim... z Władkiem!... Biedny Władek! Jak on mnie kocha!... Onby nigdy!... Ach! Co tam, głupstwo!...

Józia nie chce porównywać. Instynktownie obawia się, że porównanie wypadnie na niekorzyść Konrada.

Myśl jej mimowoli jednak zwraca się do porzuconego tak brutalnie narzeczonego, Władysława Michnika.

— Co on tam robi?... Anielka nic o nim nie pisze... Czy też pocieszył się już, zapomniał?... Może... Mężczyźni krótko pamiętają!... A jeżeli nie teraz jeszcze, to z czasem... Zobojętnieje, zapomni, ożeni się... Zostanie kierownikiem szkoły, będzie miał taki biały, ładny domek i ogród śliczny i żonę i dzieci... i szczęście!... i spokój, a ja, co?... Mam ojca, a tak właściwie, jakbym go nie miała!... mam niby narzeczonego i nie mam!... I domu nie mam!... ani kąta własnego!... ani serdecznej rady!... pomocy!... nic!... nic!...

Zaczynają się powoli plątać myśli Józji, powieki ciężą!... Szmer rozmowy, dolatujący z sąsiedniego pokoju, nie przeszkadza jej już, ale przyjemnie kołysze!... Dziewczyna usiłuje chwilę walczyć z ogarniającą ją sennością, ale nie może!...

Oczy zamykają się, ręce opadają i Józia zasypia twardym, zdrowym snem, bez marzeń.

Zbudziło ją dopiero silne szarpnięcie za ramię!...

Z trudem podnoszą się ciężkie od snu powieki. Józia, niezauważnie jeszcze ze snu zbudzona, bełkocze:

— Co?... Co?...

Zaczyna przecierać rękami zaspane oczy i po chwili przytomnieje. W mdłym, migotliwym blasku widzi pochyloną nad sobą pościółką i jakoś w tem słabym świetle niezwykle mizerną twarz ciotki.

Obok, na stoliku, dopala się w świeczniku ogarek świecy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)